

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich



19 IV 1943
POWSTANIE
W GETCIE
WARSZAWSKIM

PAWEŁ
BERĘSEWICZ

STRASZNIE
STRASZNIE



Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland
Liechtenstein
Norway grants



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

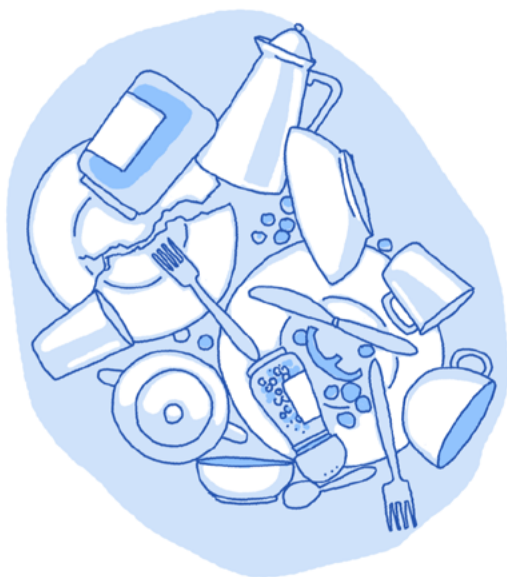
POLIN
Żydowskie
Dziedzictwo
Kulturowe

ilustracje:

ALEKSANDRA
ARTYMOWSKA

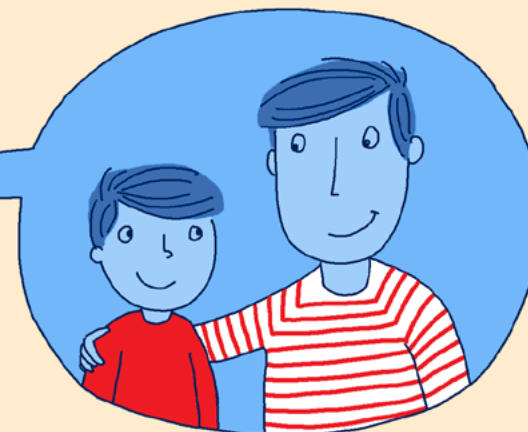
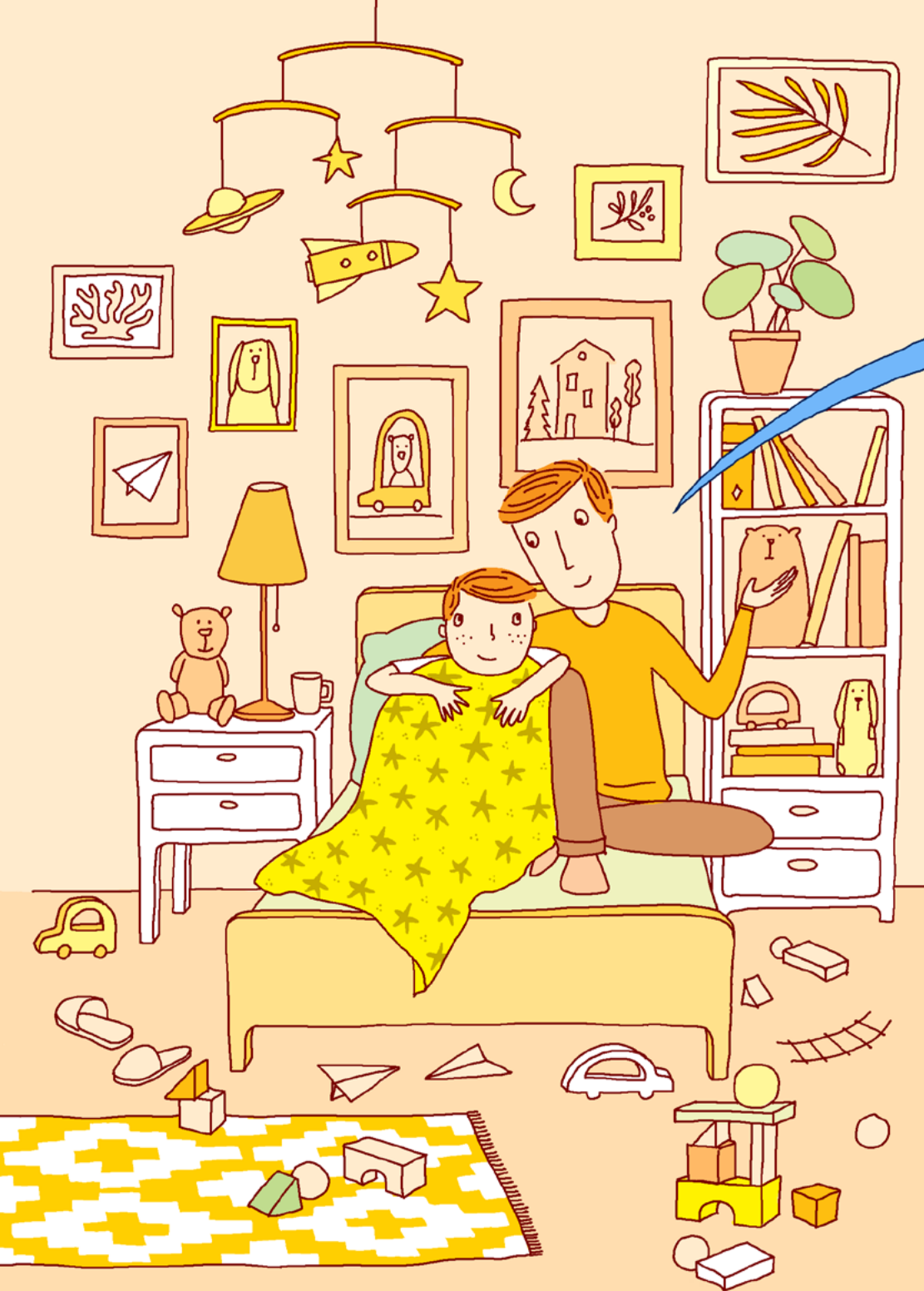
Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

PAWEŁ
BERĘSEWICZ



STRASZNIE
STRASZNIE

ilustracje:
ALEKSANDRA
ARTYMOWSKA



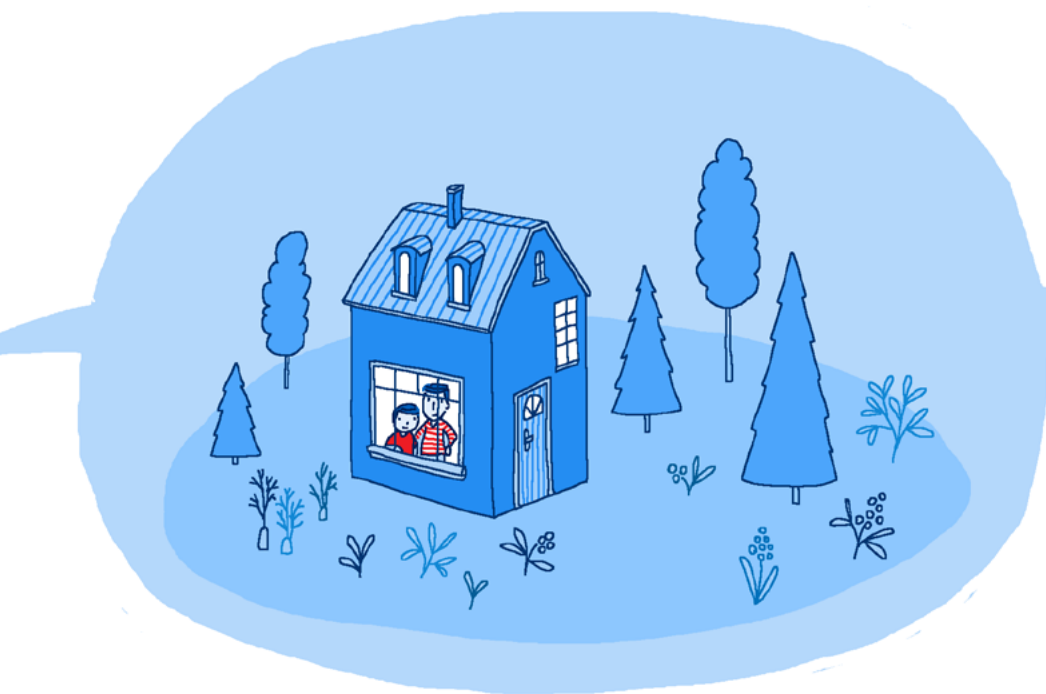
— Żeby był synek i tata, i żeby było strasznie!
— zamówilem.

— Bardzo strasznie czy trochę strasznie?

Wybrałem bardzo. Dobrze tatę znam, więc przygotowałem się na strasznie-strasznie. Obie ręce zacisnąłem na brzegu kołdry, żeby w razie czego naciągnąć ją na głowę, i przesunąłem się w stronę krawędzi łóżka – na tyle blisko, żeby czuć biodrem tatę, ale nie na tyle, żeby zepchnąć go na podłogę.

Opowieść zaczęła się tak:

Byli sobie synek i tata. Mieszkali w dużym mieście, ale w średnim domu. W pogodne, ciepłe dni wkładali buty i wychodzili do ogrodu. A nie był to byle jaki ogród. To był specjalny ogród z funkcją stadionu. W czasie między meczami rosły w nim krzaki, kwiaty i marchewki. Ale wystarczyło, że synek z tatą pojawili się przed domem, a krzaki, kwiaty i marchewki natychmiast chowały się pod ziemię. Trawnik – zwykle mały i niekształtny – rozciągał się na wszystkie strony w wielkie, prostokątne boisko. Drzewka ustawiały się obok siebie i zamieniały w bramki, a płot... okazywało się, że to wcale nie płot, tylko trybuny. Kiedy pogoda była ładna, zasiadały na nich tysiące widzów. A czasem nawet milion!



— Synek! Synek! Synek! — skandowali tak, że w sąsiedniej kamienicy dzwoniły szyby w oknach. W powietrzu powiewało morze kolorowych szalików.

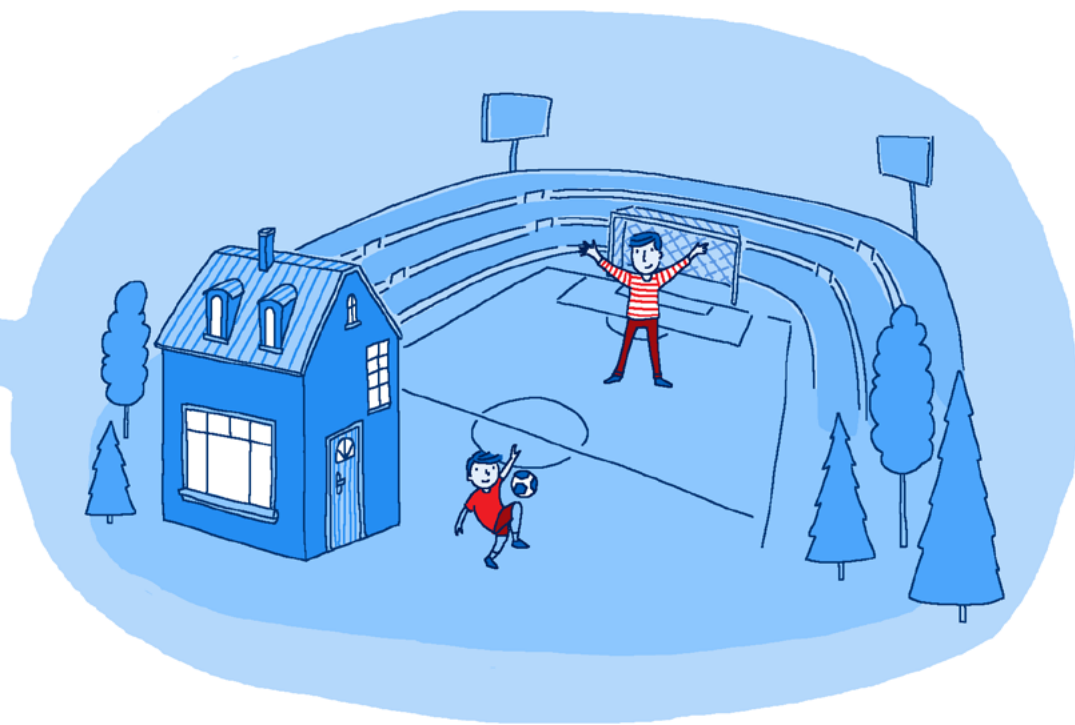
Synek celował. Brał rozbieg. Strzelał. Piłka pędziła jak rakietka, a tata rzucał się i próbował ją złapać. Tylko że ilekroć skakał w prawo, ona zawsze leciała w lewo. Kiedy on w lewo, to ona w prawo. Tak tatę sprytnie synek zmylał!

Aż któregoś ciepłego, pogodnego dnia tata powiedział do synka:

— Wiesz co? Dzisiaj sam pójdz do ogrodu.

— A ty?

— Jakoś nie mam ochoty. Zmęczony jestem.



Rzeczywiście, wyglądał nie najlepiej. Błady jakiś taki, pod oczami ściemniały, w ruchach dziwnie nerwowy.

Poszedł więc synek do ogrodu sam. Stanął na środku z piłką pod pachą, rozejrzał się wyczekująco, postukał niecierpliwie podeszwą w trawę i mruknął:

— Hm!

Krzaki, kwiaty i marchewki ani myślały chować się pod ziemię. Trawnik nawet nie zaczął się rozciągać. Drzewa rosły sobie po prostu i zwyczajnie szumiały.

— Coś tu jest nie tak — wymamrotał synek.

Początkowo myślał, że zepsuła się funkcja stadionu. Że wystarczy wezwać kogoś z serwisu. Dopiero potem zaczął podejrzewać, że to jakaś poważniejsza awaria. Kiedy wieczorem siedł z tatą do sklepu, zauważył, że nie tylko tata, ale wszyscy po drodze są jacyś markotni i ponurzy. Jakby im też popsuły się różne funkcje. Tego dnia po raz pierwszy usłyszał słowo „obręcz”. Wyfrunęło z rozmowy dwóch przechodzących pań, wpadło do ucha synka i nie zrobiło na nim specjalnego wrażenia. Kiedy jednak usłyszał je po raz drugi – zza płotu sąsiadów – i trzeci – z radia przez otwarte okno, a potem jeszcze czwarty, piąty i szósty, pomyślał sobie: O, o! Sześć razy „obręcz” w ciągu jednego dnia? To bardzo podejrzane.

Przy kolacji zapytał, co to znaczy, a tata westchnął i wykrzywił się. Chyba liczył, że uda mu się jeszcze przez jakiś czas ukryć przed synkiem sprawę tej obręczy.

— Obręcz? — mruknął niechętnie. — Taka obręczka, tylko duża.

— Jak duża? — spytał synek. — Na całą rękę?

— Albo i jeszcze większa.

— Na nogę?

— Albo i jeszcze większa.

— Na dom? — synek zaczynał już cichutko chichotać, jak zawsze, kiedy ponosiła go fantazja.

Ale tata nie był w nastroju do zabaw. Przerwał tę wyliczankę i rąbnął prosto z mostu:

— Odkryto obręcz wokół miasta.



Oczy synka zrobiły się okrągłe jak spodki
i błyszczące jak rowerowe odblaski.

— Złotą? — stęknął z wrażenia.

— Nie, nie złotą.

— Srebrną?

— Też nie.

— To jak wygląda? — niecierpliwił się synek.

Tata próbował tłumaczyć, ale wychodziło dość
mętnie. Że niby w ogóle nie wygląda, że cała przez-
roczysta, że wcale jej nie widać. Trudno było po-
czymś takim nie spytać:

— To skąd wiadomo, że jest?

Tata podrapał się w głowę i wymyślił, że
zamiast gadać, pokaże. Pochylił się nad stołem
i ułożył na nim ręce w taki sposób, że kubki, talerze
i sztuczki znalazły się w środku koła utworzonego
z ramion. Potem dłonie taty, początkowo zetknięte
czubkami palców, zaczęły się na siebie nasuwać
i pełznąć dalej w kierunku przeciwnych łokci.
Pierścień kurczył się przez to, zacieśniał, a zagar-
niane naczynia zaszurały po blacie. Coraz bardziej
stłoczone walczyły o miejsce, przepychały się, gniot-
ły, zderzały, aż w końcu słoik z dżemem zaklinowany
między cukiernicą a spodkiem runął z brzękiem na
talerzyk, a ten pękł na dwa nierówne kawałki.

— Stąd wiadomo — dopiero wtedy powiedział
tata. — Zaciska się.



Tu, gdzie mieszkali, na razie jeszcze wszystko wyglądało normalnie – z domu do szkoły dwieście kroków jak zawsze, z poczty do kiosku sześćdziesiąt. Jaka obręcz, jakie ściskanie? – pocieszał się czasem synek. Ale latające w powietrzu plotki nie podnosiły na duchu. Podobno lotnisko zbliżyło się do szpitala. Podobno sąd zepchnął teatr na środek ulicy. Podobno tu i ówdzie domy stały już ściana w ścianę.



Nocami, leżąc w łóżku, coraz wyraźniej słyszał synek dalekie zgrzyty i stęknienia. Coraz częściej nie pozwalały zasnąć strażackie syreny. Któregoś ranka okazało się, że z widoku za oknem zniknął pasiasty komin elektrowni, który z pewnością był tam jeszcze poprzedniego wieczora. Kiedy indziej szklanki w kuchni zadzwoniły od dalekiego wstrząsu. Mówiono potem, że to uniwersytet wgniół się w ratusz i przewrócił wieżę z zegarem. No i oczywiście trudno było nie zauważyć ludzi. Na każdym rogu, w każdej uliczce, z dnia na dzień coraz liczniejsi, zmęczeni i przestraszeni szukali miejsc jeszcze nie całkiem ściśniętych.

Aż kiedyś wreszcie – tata z synkiem jedli właśnie obiad – gdzieś całkiem blisko rozległ się suchy trzask łamanych desek. Zerwali się od stołu i podbiegli do okna. Na samym środku ogrodu, tam gdzie zanim popsuła się funkcja stadionu zaczynało się pole karne, stała teraz sąsiednia kamienica.

— Tata? — niespokojnie zapytał synek. — Czy ta obręcz kiedyś przestanie?

Przez dwa następne dni znosili do domu zapasy. To było bardzo mądre, bo już trzeciego dnia kamienica przysunęła się tak blisko, że nie dało się nawet otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz. Tej nocy synek po raz ostatni spał w swoim łóżku. Nazajutrz ściskane obręczą miasto naparło tak mocno, że zgmiotło ściany i pokój przestał istnieć. Musiał się synek przenieść na drugą stronę domu, do taty.

— Prawda, że twój pokój jest zgniotoodporny? — upewnił się, stojąc w drzwiach z uratowaną poduszką pod pachą.

Tata przez chwilę wyglądał, jakby rozważał tę kwestię. Potem westchnął ciężko i padł na kolana. Chwycił palcami brzeg dywanu i zaczął go zwijać. W miarę jak bela grubiała o kolejne warstwy, na gołej podłodze pokazał się zarys prostokątnej kłapy. Synek zmierzył wzrokiem wszystkie cztery boki i spytał podejrzliwie:

— Kłapa? Do czego?

— Do tunelu

— powiedział tata.

— Długiego?

— Długiego.

— Za obręcz?

— Yhm.



Synek podskoczył z radości i krzyknął:

— Hura! No to chodźmy! Na co czekamy?

Ale tata nie skakał razem z nim. Tarł ręką brodę i kiwał głową na boki.

— No, wiesz — powiedział ostrożnie. — Nie wiadomo, co jest po drugiej stronie. Różnie można trafić. Dobrze albo źle.

Za ścianą coś chrupnęło. Od podłogi po sufit przebiegło po tynku zygzakowate pęknięcie. Wymienili spojrzenia i doskoczyli do kłapy. Dźwignęli ją razem i podparli doczepionym od spodu kijem. Stanęli zgięci nad czarnym otworem i zawołali w głąb dziury:

— Halo! Jest tam kto?

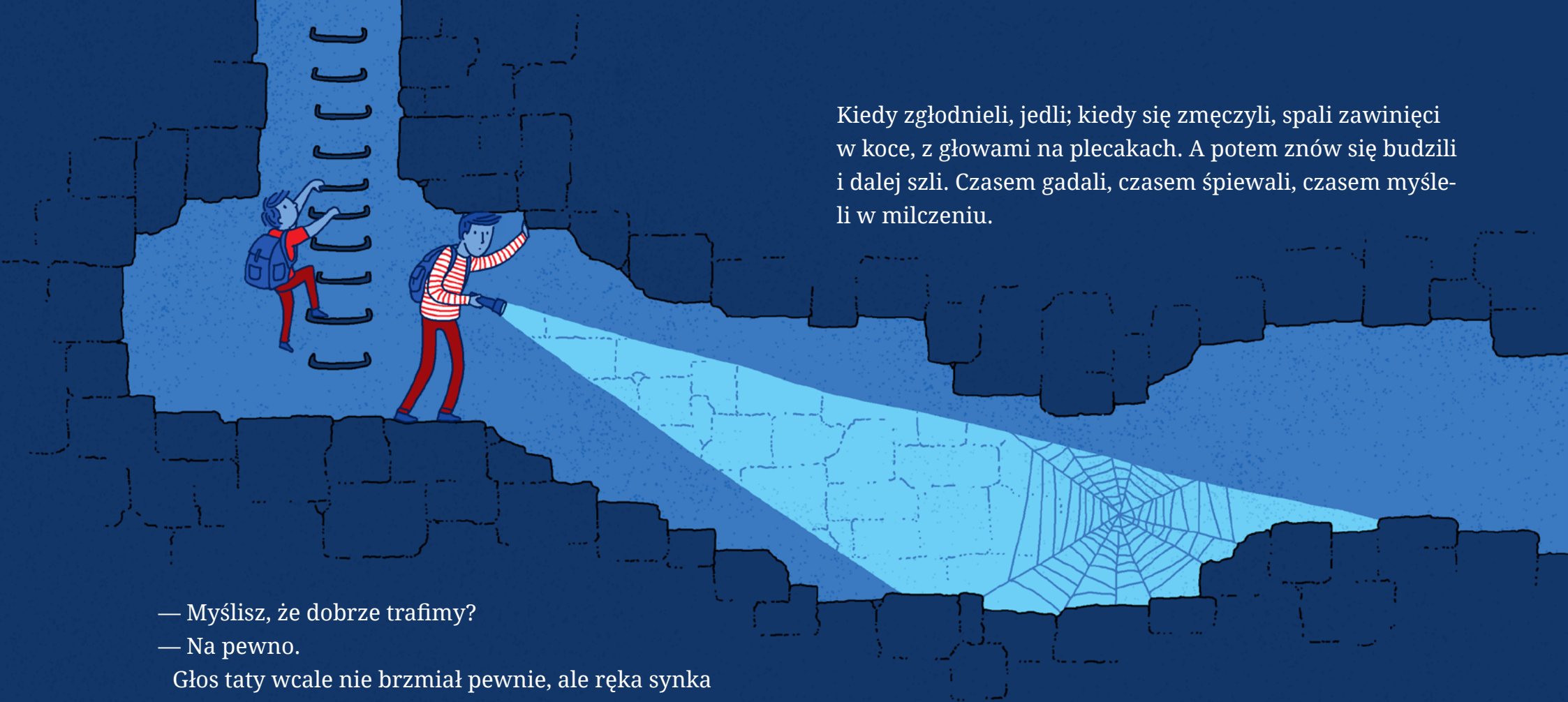
Za ścianą stęknęło i zatrzeszczało. Na głowy synka i taty sypnął się pył z sufitu. Wyrwali z szafy plecaki i zaczęli w nie pakować, co tylko się dało. Ubranie, jedzenie, latarkę. Wodę, kubek, lekarstwa. Koc, nóż, pieniądze.

— Gdzie moja poduszka? — nerwowo rozglądał się synek.

Za ścianą załomotało. Dom zadrżał w posadach. Mur wepchnął się do pokoju, a na podłogę runęły pierwsze cegły. Nie namyślali się długo. Chwycili plecaki, skoczyli i zatrzasnęli kłapę. W całkowitych ciemnościach słuchali grzmotów na górze.

— Jesteś, tata? — wyszeptał synek, kiedy nad głowami ucichło.

— Jestem.



Kiedy zgłodnieli, jedli; kiedy się zmęczyli, spali zawinięci w koce, z głowami na plecach. A potem znów się budzili i dalej szli. Czasem gadali, czasem śpiewali, czasem myśleli w milczeniu.

— Myślisz, że dobrze trafimy?

— Na pewno.

Głos taty wcale nie brzmiał pewnie, ale ręka synka wyszukała w ciemności znajomy kształt i tylko to się liczyło. Poświecili latarką, sprawdzili, że to naprawdę oni, i znaleźli leżące na ziemi plecaki.

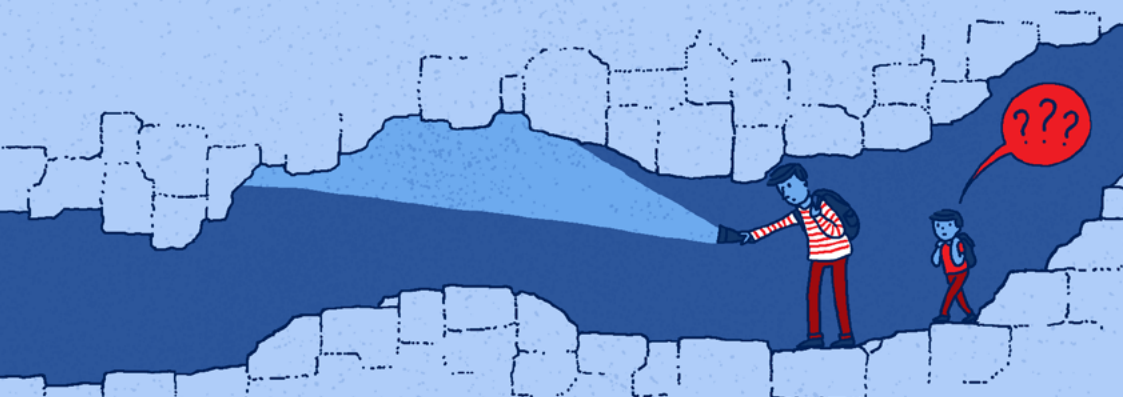
— Idziemy? — dziarsko zaproponował synek.

I poszli. Korytarz ciągnął się gdzieś w nieznane, czasami płasko, czasami lekko w górę lub w dół. Jeżeli skręcał, to łagodnie, szerokim łukiem, ale czy prowadził na północ czy na południe, na wschód czy na zachód, tego nie sposób było wyczytać z kamiennego sklepienia.

— Wiesz co, tata? — dość często mawiał synek. — Coś mi mówi, że dobrze trafimy.

Zdarzało się też jednak – kto wie, czy nie równie często, szczególnie, kiedy nogi bolały, szczególnie, kiedy w brzuchu burczało – że mu to coś mówiło coś dokładnie na odwrót.

— Wiesz co, tata? — mamrotał wtedy — Trochę się boję, że źle trafimy.



Któregoś dnia tata powiedział, że muszą mniej jeść, bo zapasy się kończą. Zamiast po kromce chleba jedli więc teraz po pół – żeby na dłużej starczyło. Kiedy została już tylko jedna kromka, tata odłożył pół na później i zjedli po pół połówki. Pół połówki kromki nie daje zbyt wiele siły, a jeszcze mniej pół połówki połówki i pół połówki połówki połówki, więc szło się coraz ciężiej i coraz bardziej chciało się płakać. A potem jeszcze zgasła latarka. Wyczerpała się ostatnia zapasowa bateria.

— Myślisz, że dobrze trafimy? — chlipnął synek, choć coraz mniej wskazywało na to, że w ogóle dokądkolwiek trafią.

Musieli odtąd iść po omacku. Tata przodem, z wyciągniętymi rękami, synek tuż za nim, trzymając się paska od jego plecaka. Na postojach siadali obok siebie i coraz częściej nic nie mówili. Czasem tylko synek szukał ręką policzka taty i badał przyrost brody od ostatniego sprawdzania.

Posuwali się bardzo powoli. Trudno szybciej, kiedy w brzuchu ma się już nawet nie kawałek kromki, ale nawet okruszków. Ponieważ i tak kompletnie nie było nic widać, można było równie dobrze zamknąć oczy i próbować nabrać samego siebie, że jest się zupełnie gdzie indziej. Szczególnie dobry był w tym synek. Raz naprawdę mu się udało. Był pewien, że stoi w ogrodzie z funkcją stadionu, kładzie piłkę na trawie, bierze duży rozbieg i...

— Aua! — ocknął się nagle, bo uderzył o coś nosem.





To był plecak taty. Zamiast oddalać się, stał w miejscu i tarasował drogę. Ciemność z przodu mruknęła niepewnie:

— Dziwne. Tak jakby koniec.

Wyglądało na to, że tunel w tym miejscu się urywał. Pod palcami tata czuł zimne, wilgotne kamienie i żadnej wolnej przestrzeni, żadnego przejścia. Nagle jego ręka natrafiła na coś, co nie było murem. Wystawało ze ściany i zostawiało na palcach żelazisty zapach. Nieco wyżej sterczało drugie takie samo, a jeszcze wyżej trzecie.

— Drabinka — szepnął tata.

Z bijącymi sercami zadarli do góry głowy. Po raz pierwszy od dawna zobaczyli coś innego niż kompletną ciemność. Prostokąt. Też czarny, ale jakby ciut, ciut mniej.

— Kłapa? — drżącym głosem spytał synek.

— Ciekawe, czy dobrze trafiliśmy.

Tata ostrożnie postawił nogę na pierwszym stopniu i zaczął powoli wchodzić. Kiedy był już na samej górze, wyciągnął rękę w stronę kłapy i lekko naparł na nią od spodu. Drgnęła.

— I jak, tata? Dobrze trafiliśmy? — usłyszał z dołu zaniepokojony głos synka.

— Jeszcze nie wiem — odszepnął.

Pchnął mocniej i kłapa zaczęła się podnosić...

W tym miejscu opowieść się urwała. Nad moim łóżkiem zawisła taka cisza, że prawie dało się usłyszeć chrobot cieni na ścianie.

— Słuchasz, czy nie? — Tata przyjrzał mi się podejrzliwie.

Może poczuł, że coraz bardziej się przysuwam i coraz mocniej spycham go z krawędzi materaca. Od kilku chwil rzeczywiście nie bardzo słuchałem. Szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się w punkt za kolanem taty, na samym środku pokoju. Przysiągłbym, że przed chwilą poruszył się dywan. Dla pewności mocno zacisnąłem powieki, otworzyłem je i jeszcze raz spoj-

rzałem. Teraz już nie miałem wątpliwości. Tam rzeczywiście coś się działo. Dywan, najwyraźniej wypychany czymś od spodu, podnosił się i wypiętrzał, aż na podłodze wyrósł spory bąbel.

— I jak, tata? Dobrze trafiliśmy? — usłyszałem jakby spod ziemi.

— Chwileczkę! — odpowiedział ktoś bliżej.

Ale temu w dole chyba skończyła się cierpliwość.

— Tata! — nalegał. — Dobrze czy źle?

Zapadła cisza, zafalował dywan. Napięcie było tak wielkie, że nie mogłem wytrzymać.

— Do nas trafiliście! — krzyknąłem.

